



Genealogia życzeń, czyli marzenia Polaków o herbie

Od kilku lat zajmuję się zawodowo przeprowadzaniem kwerend genealogicznych. Nigdy nie pytam o przyczynę zainteresowania się genealogią, ale klienci sami zaczynają o tym opowiadać. Powodów, dla których ludzie szukają przodków, jest kilka i gdyby podzielić je na dwie kategorie ogólne, to najprostszy podział byłby następujący:

- szukają ci, którzy chcą (rodzaj hobby),
- szukają ci, którzy muszą (sprawy naukowe oraz spadkowe / własnościowe).

Gdyby jednak rozszerzyć ów podział, to powody zlecenia kwerend można usystematyzować wedle kilku czynników, a są to:

- potrzeba poznawcza – występuje najczęściej, niezależnie od wieku, wykształcenia ma charakter pasji. Dotyczy zarówno tych, którzy dopiero zaczynają interesować się historią rodziny, jak i tych mających już doświadczenie w poszukiwaniach, a które z różnych względów utknęły w martwym punkcie. W tej kategorii mieszczą się również klienci, którzy nigdy nie szukali we własnym zakresie, chcą natomiast zapłacić i otrzymać gotowy produkt;
- potrzeba emocjonalna – związana z trudnymi relacjami rodzinnymi, zerwanymi więzami, adopcją, wydziedziczeniem, niechlubnymi czynami. Odkrycie pewnych faktów z przeszłości poszczególnych członków rodziny pozwala na częściowe zrozumienie niektórych zachowań i przywraca spokój poszukującemu;
- względy snobistyczne – potwierdzenie przynależności do stanu szlacheckiego, które może (ale nie musi) mieć związek z podjęciem działań na rzecz odzyskania nieruchomości;
- sprawy spadkowe – czynności związane ze sprzedażą nieruchomości, odszukaniem ewentualnych spadkobierców, wykreśleniem przedwojennych właścicieli, czy służebności w księgach wieczystych;
- praca naukowa – dotyczy napisania pracy magisterskiej, doktorskiej, monografii regionalnej (dziejów wsi, parafii, słownika biograficznego mieszkańców etc.).

Najczęstszym powodem poszukiwań jest pasja, następnym zaś w kolejce snobizm, który – nie owijając w bawełnę – w dużej mierze polega na pozbawianiu ludzi złudzeń. Dlaczego? – może ktoś zapytać. Z powodu braku dowodów źródłowych rzadko kiedy udaje się potwierdzić szlachectwo. Klienci przedstawiając historię rodziny i legendę, „o której zawsze się mówiło”, a także chcąc trochę uwiarygodnić opowieść, zwykli posługiwać się kilkoma najbardziej popularnymi mitami, a mianowicie:

- przodek był uczestnikiem powstania styczniowego (listopadowe jest zbyt odległe, by brać je pod uwagę), który stracił cały majątek,

- przodek to hulaka i utracjusz, który przegrał majątek w karty,
- przodek był nieślubnym i nieuznanym dzieckiem hrabiego,
- w rodzinie miał miejsce mezalians (najczęściej kobieta wychodziła za niższego pozycją majątkową mężczyznę), co spowodowało zerwanie kontaktów z rodziną i wydziedziczenie przodka wraz z jego potomstwem.

Oprócz powyższych powodów pojawiła się w ostatnim czasie kategoria ludzi bardziej roszczeniowa, która swoją potrzebę poszukiwawczą motywuje następująco:

- nazwisko z herbarza jest tożsame z nazwiskiem klienta – chodzi o dopasowanie jednej rodziny do drugiej,
- nazwisko zakończone na -ski lub -cki jako automatyczne potwierdzenie przynależności do stanu szlacheckiego.

Poniższy tekst powstał na bazie moich wieloletnich doświadczeń ze sprawami, które można zakwalifikować jako „marzenia rodaków o herbie”. Artykuł nie ma charakteru prześmiewczego, nie jest też moją intencją obrażanie kogokolwiek. Ma natomiast na celu:

- uwrażliwienie przyszłych poszukujących, aby bezkrytycznie nie wierzyć w opowieści rodzinne. Można je mieć ma uwadze, ale niech nie wyznaczają kierunku poszukiwań, jako że legenda jest często pobożnym życzeniem jej twórcy,
- skłonienie do weryfikowania wszelkich historii słownych solidnymi źródłami,
- zachęcenie do akceptowania przeszłości, ponieważ nikt z nas nie ma na nią wpływu.

Poniżej przytaczam fragmenty listów, które są autentyczną korespondencją skierowaną do mnie. Mając na uwadze prywatność klientów, utajniłam wszelkie informacje mogące pomóc w ich identyfikacji, a więc: imiona i nazwiska tak szukających, jak i poszukiwanych rodzin, parafie, miasta i wsie, w których mieszkali przodkowie klientów, miejsca zamieszkania klientów oraz ich zawody.

Przypadek 1

Karczmarz szlachcicem, czyli klient ma zawsze rację

Jakiś czas temu zajmowałam się genealogią pewnego klienta. Współpracowaliśmy kilka lat, sympatyczny to był człowiek, którego rodzina od dwóch pokoleń nie żyła już na wielkopolskiej ziemi. Spośród jego licznych krewnych wielu walczyło na wojnach i w powstaniach, niektórzy zostali póź-

niej odznaczeni za męstwo i odwagę, inni oddali życie za ojczyznę. Pan Iksiński był z tego bardzo dumny, zresztą słusznie. Wkładał też wiele wysiłku w upamiętnienie ich patriotycznych czynów: udzielając w lokalnej prasie wywiadów czy biorąc udział w uroczystościach o charakterze narodowym. Jego rodzina pochodziła z południowo-zachodnich krańców Wielkopolski i ze szlachtą miała tyle wspólnego, że obie rodziny mieszkały w tej samej wsi – jedna w miejscowym dworze, druga zaś... w miejscowej karczmarce.

Pan Iksiński radośnie i z niezmaconym spokojem dowodził od lat, że jest herbowy i nic nie było w stanie odwieść go od tego przekonania. Uważał, że brak jednoznacznej informacji o statusie jego antenatów z połowy XVIII wieku nie przekreśla marzeń o szlacheckości. Faktem jest, że zapisy metrykalne parafii jego przodków były niezwykle oszczędne, nie na tyle jednak, by z karczmarza zrobić pełnoprawnego szlachcica. Na stworzonej przez siebie stronie internetowej przybysza witały wizerunki przeróżnych herbów przedstawione z pominięciem reguł właściwej dla polskiej heraldyki. W poszczególnych zakładkach umieszczone były biogramy członków jego rodziny w linii nazwiska, ze szczególnym uwzględnieniem działalności wojskowej, wyciszeniem bitew, powstań i wojen, a także z zestawieniem wszelkich otrzymanych odznaczeń. Liczne odniesienia do historii Polski i przywoływanie najbardziej znanych rycerzy dawało czytającemu poczucie wyjątkowości tej rodziny. Byłaby to niezwykle interesująca strona, ukazująca wielopokoleniową miłość do ojczyzny, gdyby nie wyimaginowane, o wyraźnie snobistycznym zabarwieniu informacje o szlactwie, herbach i o parantelach z przedstawicielami miejscowej szlachty. Jeśli wiadomości o statusie rodziny miały charakter tyleż legendarny, co nieprawdziwy, to jaką wartość mogły mieć inne dane znajdujące się na stronie? Obawiam się, że poza mną nikt z zagląających na stronę nigdy nie zwróci na to uwagi, nie mówiąc już o jakimkolwiek sprostowaniu.

Przypadek 2

Od rycerza do kuśnierza, czyli marzenia o kresowych majątkach

To była jedna z ciekawszych spraw, głównie ze względu na podejście klientów (a raczej klientki) do genealogii. Jakiś czas temu zgłosił się do mnie klient z prośbą o potwierdzenie szlactwa. Twierdził, że jego przodkowie walczyli w bitwie pod Grunwaldem i ma to wszystko szczegółowo udokumentowane. Trochę zdziwiona (bo jak udo-

kumentowane, to co tu udowodniać?) zapytałam, jakimi dokumentami dysponuje i czy ma zachowaną ciągłość chronologiczną w drzewie przodków. Wtedy klient oddał telefon żonie jako osobie lepiej zorientowanej w jego własnej genealogii. Od tej pory kontaktowałam się już tylko z nią i były to rozmowy o charakterze „płacę więc wymagam”.

Podczas pierwszej rozmowy klientka głosem zdecydowanym i pewnym swoich racji dowodziła, że mąż pieczętuje się herbem Korab, do rodziny należą ogromne posiadłości na wschodzie Polski (bodaj na Kresach), komplet dokumentów zostanie mi dostarczony natychmiast, nie zważając na pandemię, bo czas nagli. Jako że mąż jest bardzo chory, pieniądze ze sprzedaży mających na horyzoncie latyfundiów przydadzą się na jego leczenie. Było to jak najbardziej zrozumiałe tłumaczenie.

Ow przekazany mi komplet dokumentów był w rzeczywistości plikiem wydruków z trzech internetowych herbarzy, z podkreślonym wyraźnie interesującym nazwiskiem rodowym. Dalej było wyszczególnienie majątków tej rodziny, aż wreszcie to, co mnie najbardziej zainteresowało – osobna kartka, a na niej pradziadek klienta: jego szcątkowe dane, czyli miejsce i rok urodzenia oraz informacje o żonie. Luka genealogiczna między uczestnikiem bitwy pod Grunwaldem a pradziadkiem klienta (dla których wspólnym mianownikiem było to samo nazwisko) wynosiła bagatela 460 lat!

Nie chciałam deklorować się co do wielkich poszukiwań, zanim nie sprawdzę statusu tej rodziny, a do tego wystarczyły poszukiwania jednego, dwóch pokoleń w obrębie XIX wieku. Po długich targach z żoną (miałam wrażenie, jakbym rozmawiała ze straganiarką) stanęło na trzech pokoleniach. Przeczucie nie zawiodło, bowiem kwerenda wykazała, że o żadnym szlachectwie nie może być mowy. Rodzina była wprawdzie zacna, ale pochodzenia mieszczańskiego, żyjąca przynajmniej od 100 lat w jednym z podpoznańskich miasteczek i parająca się w trzecim pokoleniu tkactwem czy kuśnierstwem. Przedstawiłam wyniki swoich poszukiwań oraz wnioski, wysłałam wyniki kwerendy i zapomniałam o sprawie. Kilka dni później telefon zaczął natarczywie dzwonić. Kiedy odebrałam, usłyszałam w słuchawce poirytowany głos:

- Drrrrroga Pani Joanno – o, to nie zabrzmiało dobrze – pomyślałam, próbując dopasować głos do nazwiska, a nazwisko do sprawy.

- Tak to ja, dzień dobry, w czym mogę pomóc? – zapytałam.

- Bardzo nie podoba mi się to, jak Pani zmienia nasze nazwisko, to po pierwsze. A po drugie, Pani się najwidoczniej nie zna na szlachcie, skoro ja mam



Ryc. 1. W magazynie ksiąg metrykalnych w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Fot. J. Lubierska, 2021

potwierdzenie, że do niej należymy, a Pani nie umie tego udowodnić!

Odnosnie do pierwszego zarzutu – nazwisko męża klientki było na początku XIX wieku zapisywane przez „i”, a nie przez „j”, i w nieco skróconej formie, czyli fonetycznie. Jak pleban usłyszał, tak zapisał. Zaprosiłam panią do archiwum na wspólne oglądanie dokumentów – nie skorzystała jednak. Z drugim argumentem trudno było dyskutować.

- Czy dopuszcza Pani możliwość, że rodzina z herbarza Seweryna Uruskiego może nie być rodziną Pani męża? – zapytałam spokojnie.

Trzask rzucanej słuchawki oznaczał, że klientka nie dopuszcza takiej możliwości. Nie był to jeszcze koniec moich przygód z mieszczańską rodziną o rycerskich marzeniach. Kilkanaście tygodni później napisał do mnie kolega, tak jak ja prowadzący firmę genealogiczną. Zdumiona przeczytałam wiadomość, która brzmiała:

Cześć. Kontaktowała się ze mną kobieta, poszukująca Iksińskich i podała mi wyniki Twojej kwerendy. Wydaje się trochę szalona, bo poznajdywała szlachtę o tym nazwisku z 1440 roku i chyba chce to jakoś połączyć. Kojarzysz sprawę? Jakie doświadczenie miałaś z tą klientką?



Ryc. 2. Biurko, przy którym pracuję w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Fot. J. Lubierska, 2019



Ryc. 3. Najgrubsza księga metrykalna z parafii Jutrosin, z zasobu Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu. Fot. M. Kaczmarek, 2015

Opadły mi ręce. Pani Iksińska nie złożyła broni i nie pogodziła się z plebejskim (w jej mniemaniu) pochodzeniem swojego męża. Szukała kolejnej firmy, dzięki której odzyska mityczne posiadłości na wschodzie. Przewiduję dla niej dwa scenariusze: albo znowu trafi „pechowo” na uczciwego genealoga i nic nie wskóra, albo trafi na oszusta, któremu zapłaci kilkanaście tysięcy, aby zaspokoić swoją próżność. W obu przypadkach i tak nie wejdzie w posiadanie dawnych, przedwojennych majątków, ponieważ nigdy nie należały do rodziny jej męża. Po całej sprawie pozostał lekki niesmak i pytanie o sens bycia uczciwym w tym zawodzie, skoro klient bardzo chce być oszukany.

Przypadek 3

O tym, że „famulus” nie znaczy „nobilis”

Z polecenia trafiła do mnie kilka miesięcy temu klientka, która swoją przygodę z genealogią rozpo-

częła ponad 10 lat temu. Szukała przodków po linii ojca, zebrała sporo informacji o najbliższych pokoleniach, ale utknęła w połowie XIX wieku. Miała bardzo ładne nazwisko, nie za częste, czym jednak w poszukiwaniach nie należy się kierować. Znanie są bowiem rodziny o niepięknie brzmiących, pospolitych nazwiskach, za to należące do najbardziej znanych w historii Polski (Górkowie, Kiszkwie, Tarłowie etc.).

Piszę z polecenia i chciałabym się dowiedzieć czy jest w stanie mi Pani pomóc. Jestem z Wielkopolski (Poznań) i choć do tej pory podjęłam parę prób poszukiwań, daleko nie zaszłam. Poniżej wspomniałam iż interesuje mnie znalezienie potwierdzenia szlacheckiego jak i odzyskanie ziem do nas należących. Do tej pory zatrzymałam się na linii mojego pradiadka i utknęłam.

Zanim zabrałam się za czasochłonne analizowanie kilkunastu przekazanych dokumentów, za-

pytałam, czy jest gotowa przyjęć do wiadomości, że poszukiwania mogą nie zakończyć się po jej myśli i wykazać pochodzenie chłopskie lub mieszczańskie? Czy zdaje sobie sprawę, że praca genealoga polega na wykazaniu prawdy, nie zaś na dopasowaniu poszukiwań pod oczekiwania klienta? Niezrażona niczym miłośniczka historii rodzinnej odpiisała następującymi słowami:

Jednak cenię sobie prawdę i lojalność i cieszę się z faktu, że może będzie Pani w stanie tę prawdę znaleźć i ustalić bo trochę to już trwa.

Niedane mi było poszerzyć wiadomości o genealogii rodziny pani Iksińskiej, nie cofnęłam się nawet o jedno pokolenie. Pani co prawda absolutnie zgadzała się z moim zdaniem, ale uważała, że „pobawienie złudzeń” o szlacheckim pochodzeniu może co najwyżej dotyczyć innych, nie jej. Spośród kilkunastu skanów, jakie od niej otrzymałam, wyskakały dwa, o kluczowym dla sprawy znaczeniu. Były to pozyskane 10 lat wcześniej kościelne akty zgonów, z których niezbitnie wynikało, że prapradziadek klientki zmarł jako żebrak, a jego syn (pradziadek klientki) był zwykłym wiejskim parobkiem. Mimo takiej wiedzy i to od tylu lat, pani Iksińska w pierwszym mailu niezrażona pisała:

Należymy do herbu Junosza ale nie wiem jak odzyskać i znaleźć ziemie i jak potwierdzić, że jesteśmy ze szlachty.

Na moją zdecydowaną odpowiedź, że w tym przypadku o żadnej szlachcie nie może być mowy, pani Iksińska już nigdy więcej nie odpisała. Stwierdzenie, na ile „ceni sobie prawdę i lojalność”, a na ile życie marzeniami – pozostawiam ocenie Czytelników.

Przypadek 4

Nieślubne dzieci, czyli o szlactwie „nabytym” kuchennymi drzwiami

Trafił do mnie kiedyś z polecenia niezwykle sympatyczny klient, który szukał informacji o swoim trzykrotnym pradziadku (nazwijmy go Ludwik). Potrzeby poznawcze standardowe: data i miejsce jego śmierci oraz imiona rodziców, a także miejsce urodzenia.

Klient, co warto podkreślić, nie był nowicjuszem w zakresie poszukiwań, był dobrze przygotowany do kwerendy, a jego przypadek okazał się być jednym z bardziej nietypowych. Nazwisko, którego szukał, było rzadkie, nosiła je pewna szlachecka rodzina rodem z Gnieźnieńskiego, która dość do-

kładnie została opisana w jednym z herbarzy. Jeden z przedstawicieli tej szlacheckiej rodziny, typowany przez klienta na ojca trzykrotnego pradziadka Ludwika, miał dwie żony, a z każdą z nich liczne potomstwo, które rozpieczęściło się po Wielkopolsce. Jednak wśród dzieci nie było żadnego Ludwika. W ten sposób klient utknął w poszukiwaniach – a były to czasy nieodległe, raptem druga połowa XIX wieku. Gdyby udało się znaleźć akt urodzenia i tym samym dopasować go do rodziny z herbarza, klient cofnąłby się w swojej genealogii o, bagatel!, 300 lat. Była to naprawdę kusząca perspektywa.

Z drugiego aktu ślubu, który Ludwik zawarł (a klient o nim nie wiedział), jak i z aktu zgonu (do którego wcześniej nie dotarł) można było wyczytać, gdzie się urodził i kim byli rodzice. Matką chłopca był służąca, która urodziła dziecko poza swoją rodzinną wioską. Była to jednak wieś należąca do rodziny, od której później Ludwik przejął nazwisko, tej samej, która została opisana w herbarzu. Ojciec prawdopodobnie dziecka nie uznał, w akcie chrztu nie ma na ten temat żadnej wzmianki. W tym przypadku Ludwik mógł być dzieckiem z nieprawego łoża, czego nie można wykluczyć, ale przeszukiwanie ksiąg metrykalnych nic tu nie pomoże. Jedynym wyjściem jest zlecenie badań DNA.

Przypadek 5

„Osobisty szofer jaśniepana”, czyli o tym, że szlactwo dziedzica nie przechodzi na służbę

Odkrywanie historii własnej rodziny było sposobem na nudę dla pewnej emerytowanej wiejskiej nauczycielki. Mając więcej czasu powzięła któregoś razu myśl o uporządkowaniu rodzinnych notatek, które od lat spoczywały w rodzinnym pudle.

Zwracam się z prośbą o wykonanie kwerendy dziadków w celu potwierdzenia lub wykluczenia pochodzenia szlacheckiego – jesteśmy herbu Jastrzębiec. Nurtuje mnie zapis mamy przy opisie pradziadków (...). Dlaczego drugi mąż babci jest przedstawiony jako osobisty szofer hrabiego? Widziałam zapis o babci, jako służącej – jest to dziwne – i dlatego proszę Panią o pomoc jako osobę kompetentną w takich sprawach.

Zgodnie z dokumentami, na które w przeważającej części składały się karty meldunkowe, rodzina babci nie miała żadnych powiązań ze szlachtą, a ona sama pracowała w Poznaniu od kilku lat jako zwykła służąca.

Przypadki ubożenia szlachty zdarzały się, jednak nie do pomyslenia było, aby szlachcianka pra-

cowała jako służąca czy pokojówka. Dalsza rodzina, w obawie przed opinią publiczną czy skandalem, nie dopuściłaby do takiej sytuacji. Niezamożne panny podejmowały pracę dostosowaną do ich statusu społecznego, a więc jako guwernantki czy nauczycielki domowe. Mimo to klientka była dosyć zaskoczona, bowiem motyw szlachectwa i herbu mocno się zakorzenił w przekazach rodzinnych.

Klientka podkreślała też, że jej dziadek był „osobistym szoferem hrabiego”, jakby oznaczało to nobilitację z automatu. Rodzina, u której pracował, należała do kręgu arystokracji wielkopolskiej. Pałac, w którym mieszkali, wraz z zabudowaniami i folwarkiem stanowił spory majątek i zatrudniał wiele osób, m.in. kucharzy, pokojówki, lokajów, szoferów, stangretów, stajennych. Funkcja osobistego szofera, tylko do dyspozycji dziedzica, mogła być dziadkowi klientki powierzona ze względu na umiejętności lub też opłacony przez przyszłego pracodawcę kurs.

Przeprowadziłam kwerendę do trzeciej ćwierci XVIII wieku i wykazałam, że rodzina, choć z podmiejskiej wioski, była chłopskiego stanu. Wyjaśnienia okazały się dla klientki wiarygodne, ale czy satysfakcjonujące? W każdym razie przyjęła je ze spokojem, jako jedna z nielicznych osób. Nie urwaniam kontaktu, nie irytacją, czy zarzucaniem mi braku wiedzy („Pani się nie zna” – to najczęstsze stwierdzenia, jakie słyszę), ale zrozumieniem.

Zdarzają również tacy klienci, którzy zlecili poszukiwania, nie zapłacili za kwerendę i przestali się kontaktować. Moim błędem okazywała się być zwykła ludzka uczciwość (czyli poinformowanie o statusie rodziny przed rozliczeniem) i potraktowanie sprawy klienta tak, jak sama chciałabym zostać potraktowana (czyli rzetelnie, z szerszym kontekstem). A przecież jeśli wystawiam fakturę, której zleceniodawca nie zapłaci, muszę z tytułu przychodu zapłacić podatek (do urzędu skarbowego odprowadza się podatek od wystawionej faktury, nie od wpływu na konto). Z tego powodu wyników moich ustaleń nie dostarczam, zanim nie otrzymam dowodu wpłaty.

Jednak kontakt z osobami, które nie do końca przemyślały kwestię poszukiwań, odbiera człowiekowi całą radość pracy i energię do dalszych działań. „Ja Pani do niczego nie zmuszałam” – napisała mi ostatnio klientka, która sama się do mnie zgłosiła w sprawie poszukiwań. Chciała potwierdzenia przynależności do szlachty i poznać wizerunek her-

bu, „jeżeli oczywiście istnieje ☺”, aby córka czy syn mogli go wydrukować na zaproszeniach ślubnych. Jej tok myślenia opierał się na dwóch przesłankach: pierwszym była zamożność rodziny przed II wojną (która posiadała nieruchomości gruntowe), drugim dobre wychowanie wyniesione z domu. Nie kwestionowałam statusu majątkowego, nie odmawiałam też „zacności” rodzinie, czy pewnej szlachetności. To jednak nie ma nic wspólnego z przynależnością do szlachty, co wykazała analiza jej przypadku. Do dziś nie otrzymałam należności za wykonaną pracę, a na moje stwierdzenie, że unika kontaktu, klientka odpisała, że jest to „bezpodstawna insynuacja” i zamilkła. Cóż, jaka „szlachta”, takie maniery.

Obserwując przypadki z mojej praktyki, dochodzę do wniosku, że Polacy mają kompleks pochodzenia. Niby chcą znać prawdę bez względu na istnienie nieszczęsnego herbu, ale kiedy okazuje się, że rzeczywistość jest inna od projektowanej, odrzucają ją. Przynależność do innej niż szlacheckiej sfery jest w ich oczach czymś gorszym i deprecjującym. We współczesnym świecie mamy wiele rzeczy, które są wyznacznikiem naszego wyższego statusu: podmiejskie domy, dobre samochody, dzieci w prywatnych szkołach, wakacje zagranicą. Poziom wyższy to drogie sporty, zdrowy tryb życia, członkostwo w organizacjach charytatywnych, ale i to przestaje być czymś wyróżniającym. Czym więc jeszcze możemy zaimponować, jak nie przeszłością, dobrym pochodzeniem i nawiązaniem do dawnego ładu i porządku? Warto jednak podkreślić, że genealog nie jest od zaspokajania tego rodzaju życzeń swoich klientów, tylko od ustalenia stanu faktycznego. Pozbawianie złudzeń jest niestety elementem naszej pracy, a uczciwość jedną z naczelnych zasad. Każdy, kto zaczyna „grzebać w przeszłości”, musi być przygotowany na niespodzianki, niekoniecznie miłe w jego ocenie. Chłopskie pochodzenie, rozwody, więzienie, nieślubne dzieci i samobójstwa mogą być elementem historii rodzinnej każdego z nas. Trzeba się zmierzyć z prawdą i przyjąć ją taką, jaką jest czy była. Zafałszowane wyniki poszukiwań genealogicznych nie przedstawiają żadnej wartości, a jedynym ich celem jest wprowadzenie w dobry nastrój poszukującego. Warto pamiętać, że na przeszłość, trudne do zaakceptowania wybory, czy wstydlive zachowania członków naszych rodzin nie mamy już żadnego wpływu, niezależnie od naszej świadomości w tym zakresie.